



# Widma i duch

**DARIUSZ KOSIŃSKI**

**Wydawało się, że Krystian Lupa chce zapytać o także swoją odpowiedzialność za to, że pokolenie dzieci-kwiatów zmieniło się w pokolenie dobrze ustawionych „dzbanów”. Niestety, szybko okazuje się, że żadnego rachunku sumienia nie będzie.**

**P**O ŚWIATOWEJ PRAPREMIERZE Najnowszego spektaklu Krystiana Lupy na Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych w Teatrze Powszechnym w Łodzi (23 kwietnia) napisałem wiadomość do przyjaciela, który siedł na drugą prezentację i prosił, bym mu napisał, na co się ma przygotować. Zacząłem od rzeczy ważnych: „Bądź wypoczęty. Zjedz dobrą kolację, miej ze sobą butelkę wody”. A potem dopisałem: „Pierwsza część świetna.

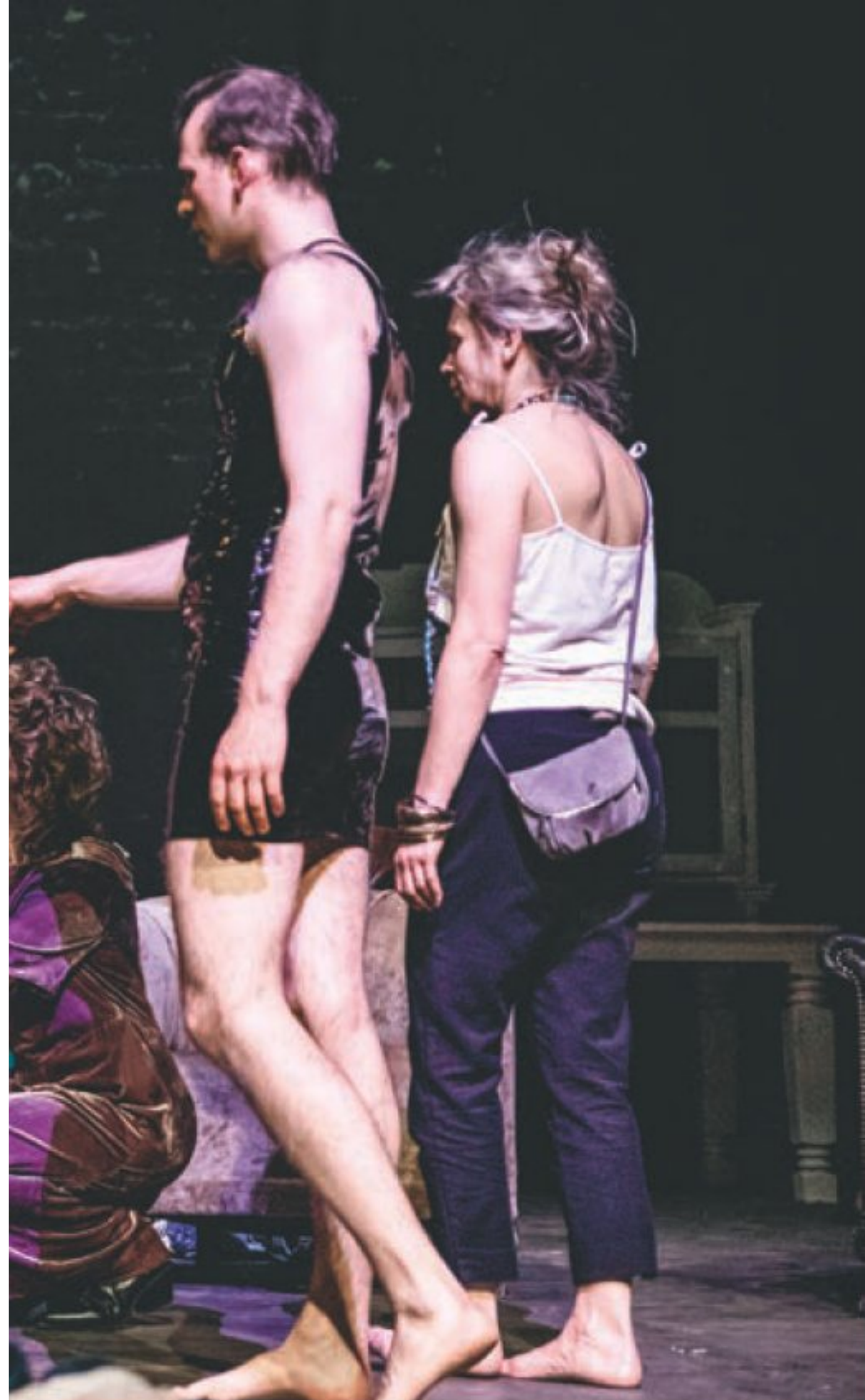
Druga nie. Ale wytrzymaj, bo jestem ciekaw, co powiesz”. Właściwie miałem ochotę napisać: „jeśli wyjdiesz po pierwszej części, nic nie stracisz”.

Z sześciu godzin „Imagine” w pamięci została mi jedna, ale na dobre. W dodatku godzina zupełnie innego teatru niż ten, który zwykle się wiązać z nazwiskiem Krystiana Lupy.

## **Zapisane o świcie**

Wyszedłem z „Imagine” rozeźlony, jeszcze zanim rozległy się prapremierowe brawa i rozpoczęła cała ta coraz trudniejsza do zniesienia szopka („Reżyser!”, „Reżyser!”). Była godzina 1.24 i musiałem się spieszyć na autobus, którym dojeżdżam właśnie do domu. Piszę zaraz po przebudzeniu z autobusowej drzemki, by nie dać rozsądkowi wyciszyć emocji i nie oddzielić doświadczenia teatralnego, które ma pobudzić do wyobrażania sobie innej rzeczywistości, od rzeczy tak podstawowej jak zmęczenie, znużenie i narastająca irytacja, które odczuwałem z każdą minutą dłużej się niemiłosiernie drugiej części.

O godzinie pierwszej w nocy nie byłem już w stanie słuchać rozciągniętych monologów, w których naprawdę rzadko pojawiają się myśli głębsze. Gdyby o tej porze jakiś mój znajomy postanowił mnie uraczyć takimi refleksjami, to poprosiłbym, żeby poszedł do



NATALIA KABANOW / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU POWSZECHNEGO W WARSZAWIE

Próba spektaklu „Imagine”, reż. Krystian Lupa

siebie, przespał się i wrócił jutro ze świeżą głową. Ale przecież nie powiem tego artyście, którego zadumana twarz patrzy ze słupów w centrum Łodzi. Gorzej – „Artysta Wizjoner” sam sobie tego nie powie i będzie wykorzystywał swoją pozycję, żeby wraz z zespołem odgrywać przede mną własną przenikliwość intelektualną i moralną wrażliwość.

Ja naprawdę rozumiem potrzebę powiedzenia publicznie, że „Putin ch...”, ale może jednak lepiej robić to na ulicach, wraz z grupą protestujących Ukraińców (akurat tego dnia ulicami Łodzi przechodziła ich demonstracja). I może wobec realnych ludzkich tragedii ugryźć się w język, gdy szatan kusi do wygłoszenia komentarza, że każdy z nas jest uchodźcą, bo choć nadal siedzimy w domach, to już zaczęliśmy tułaczkę. Nie, nie jest pan żadnym uchodźcą – jest pan dobrze sytuowanym europejskim reżyserem teatralnym zarabiającym duże pieniądze i nocującym w luksusowych hotelach, więc bardzo proszę nie porównywać się z ludźmi, którzy nadal marzną w polskich lasach albo siedzą na dworcu w Przemyślu. Ja naprawdę rozumiem potrzebę, ale może jednak potraktować serio i odnieść też do siebie to pytanie, które pada ze sceny tak często: „Co ty robisz? Co ty tu teraz robisz?”.

Myślę, że Krystianowi Lupie właśnie jako artyście potrzebny jest ktoś, kto miałby odwagę powiedzieć (i kogo by wysłuchał), że nie wszystko, co się może

i chce powiedzieć, powiedzieć należy. Taki ktoś może zdołałby powstrzymać Andrzeja Kłaka przed „odgrywaniem” samospalenia Piotra Szczęsnego i przekonał reżysera, że naprawdę nie ma potrzeby dalszego budowania własnej legendy jako twórcy rekordowo długich przedstawień.

Tak, wiem – te długie, męczące przedstawienia lubią się dać interpretować jako procesy, w których zmęczenie, nuda, udrczenie ciężarem upływającego czasu mają wytworzyć specjalny rodzaj percepcji, wymusić wyjście poza zwykłe sposoby myślenia. Ale w przypadku „Imagine” wymusiły sporo wyjść z teatru i wytworzyły żenujące sytuacje, gdy aktorzy odwoływali się do realnych ludzkich tragedii, a nawet ośmielali się je „ewokować”, a widzowie, do których apelowali o współmyślenie, chyłkiem a z ulgą uciekali z sali. I to oni mieli rację. Bo jeśli protestuje się przeciwko przemocy i jednocześnie (bezwiednie? świadomie?) wykorzystuje się czysto przemocową sytuację teatralną (ja mówię – ty siedzisz cicho i słuchasz) i jednokierunkową relację etyczną (ja mówię o okrucieństwach wojny, o potrzebie wolności i protestu, a ty wychodzisz?!), to niestety wszystkie te podstawowe pytania i kwestie bierze się w nawias, a sytuacja egzystencjalnego i moralnego zatroskania zamienia się w proces pompowania własnego ego. I w fatalnie anachroniczny teatr.

To, że wyszedłem wściekły, sprawiła bowiem przede wszystkim ostatnia scena prapremierowej wersji – „szamański” występ Piotra Skiby. Poprzedza go jedna z niewielu w tej części sekwencji tchnących rytmem współczesności – pięć minut, w czasie których leżące na scenie w swobodnych pozach i z obnażonymi piersiami aktorki mówią, co mają w głowach. Scena ta niesie świeżość, której w całej drugiej części „Imagine” rozpaczliwie brakuje. Jest jak otwarcie okna w dusznym pokoju. Na dodatek prowadzona jest tak („mamy tylko pięć minut” – mówią aktorki), że wydaje się ostatnią. Gdy jeszcze na koniec feerią barw i dźwięków wybucha film z hippisowską utopią odgrywaną do „Strawberry Fields Forever”, naprawdę jestem pewien, że to już koniec. Trochę doczepiony i bardzo inny niż ta cała trzygodzinna modernistyczna męska męka, ale właśnie dlatego – fajny. No i wtedy niestety okazuje się, że musi jeszcze być solówka ulubionego aktora, który wykrzykuje artaudowskie zaklęcia

w najgorszej manierze anachronicznego teatru kontrkulturowego.

Naprawdę rozumiem potrzebę, żeby zademonstrować i wykrzyknąć, ale jeśli coś położyło kres tamtej utopii i zabiło jej skuteczność, to takie właśnie samonapuczenie. Więc proszę się nie dziwić, że wyszedłem naprawdę wkurzony. Także dlatego, że strasznie mi szkoda tego przedstawienia.

### Sonata widm

Bo „Imagine” trzygodzinne, kończące się po pierwszej części, jest ważne, przejmujące i wciągające, z nieoczywistą, wręcz zaskakującą kulminacją. W przedpremierowych deklaracjach Krystian Lupa powtarzał, że chce zapytać o klęskę kontrkultury lat 60. i 70., a dokładnie o to, „co spier...liśmy”, że tamte szanse na przemianę człowieka i świata zostały zmarnowane. Wydawałoby się więc, że chce przeprowadzić coś w rodzaju rachunku także własnego sumienia i zapytać o swoją odpowiedzialność za to, że pokolenie dzieci-kwiatów zmieniło się w pokolenie dobrze ustawionych „dzbanów”, których figurą jest aluzyjnie przywoływany w spektaklu Ryszard Terlecki. Niestety, szybko okazuje się, że żadnego rachunku sumienia nie będzie, bo wyjściowe „my” natychmiast przekształcone jest w figuralne „oni” i odsunięte od biografii głównego sprawcy.

Sytuacja wyjściowa jest prosta, wręcz banalna: po wielu latach od rozpadu jakiejś kontrkulturowej komuny jej charyzmatyczny lider (Grzegorz Artman) zaprasza „siostry i braci” na spotkanie rozliczeniowe. Jest ono też rodzajem spóźnionej stypy po Johnie Lennonie, którego „Imagine” to jednocześnie hasło do działania („Wyobraź sobie inny świat”) i program zniesienia podziałów prowadzących do agresji i walki. Spotkanie odbywa się w sytuacji powszechnie rozpoznawalnej klęski tego programu – toczącej się tuż obok wojny, powszechnej wrogości, dominacji ideologii opartej na nienawiści. Dawne idee i praktyki są w stanie rozkładu, którego ucieleśnienie stanowi rozpad lidera na niemal bierne, umierające, a w końcu znikające ciało i ucieleśnioną „resztkę umysłu” (Andrzej Kłak).

Na spotkanie przybywają kolejno osoby noszące znaczące imiona postaci ważnych dla kontrkultury. Lupa w wywiadach niby powtarza, żeby nie zwracać na nie uwagi, ale wystawia je i ustawia w spektaklu tak, że odruchowo uruchamia się

→ gra w zgadywanie *who's who*. Że lider Antonin odwołuje się do Artauda, to jasne. Że Janis (Karolina Adamczyk) to Joplin, nawet nie trzeba się domyślać, bo niby postacie nie są ważne, ale w odpowiednim momencie piosenkę Janis się włączy. Domyślanie się, że Patti (Marta Zięba) to Smith, Susan (Anna Ilczuk) – Sontag, a Tim (rewelacyjny Julian Świeżewski) to chyba Timothy Leary, raczej przeszkadza niż pomaga, podobnie jak zachodzenie w głowę, czy młody o imieniu Michel (Michał Lacheta) to Foucault, kim na miły Bóg jest Marieliv (Ewa Skibińska) i czemu postać grana przez Michała Czachora nosi żeńskie imię Lucy.

Cała ta gra w figurki jest unikiem, rodzajem ochronnego uogólnienia, którego efektem (czy zamierzonym – nie wiem) jest wyczyszczenie przedstawienia z czegoś, co dla wyjściowego pytania wydaje się podstawowe: historycznego i osobistego konkrety. Jeśli punktem wyjścia miałyby rzeczywiście być stawiane serio pytanie „co spier...liśmy?”, to jednak oczekiwałbym, że Krystian Lupa wyjdzie spoza ochronnych figur i rzeczywiście postawi je sobie samemu. Wtedy zamiast zapraszać do współpracy aktorki i aktorów, mógłby napisać list do uczestniczek i uczestników jego własnej jeleniogórskiej „komuny”, albo różnych mitycznych towarzyszek i towarzyszy polskiej kontrkultury, i pytać konkretnie i historycznie, a nie alegorycznie i ogólnikowo. Bo to naprawdę jest ważne pytanie, co spowodowało, że na przykład Ryszard Terlecki albo i Jerzy Illg są tam, gdzie są, a świat wygląda, jak wygląda. O wiele bardziej interesująca byłaby konfrontacja Krystiana Lupy z samym sobą niż męka, na jaką skazany zostaje świetny aktor Grzegorz Artman cierpiący za nie swoje winy.

W pewnym momencie Ewa Skibińska zauważa coś, co niemal od początku wydaje się oczywiste: że zgromadzenie dawnych „towarzyszy broni” to prawdziwa „sonata widm”, które – owszem – mają aktywne aktorskie ciała i emocje, ale same są bezcielesne, pozahistoryczne, książkowe, jak Antonin, który pyta, ale nie jest specjalnie zainteresowany odpowiedziami. Jak to często u Lupy bywa, teatralne widma wpadają w otchłanie książkowych cytatów i zmęczenia sobą. Dopiero kiedy dojdą do ich dna i wyczerpią katalogi wielosłownych banałów, będą w stanie zrobić coś, co tę całą gadaninę jakoś ocali.

Jest w „Imagine” Lupy  
coś dotykającego,  
żywego, niewpadającego  
w banał i manierę.

**To wiara w życie  
kontrkulturowej utopii.  
Choćby tylko w teatrze.**

### Zmartwychwstanie Króla

Bo najważniejsza część „Imagine” nie ma wiele wspólnego z pytaniem Antonina i rzekomym rozliczeniem z kontrkulturą. Zaczyna się nie od słowa, ale od piosenki. I przewrotnie – nie od tytułowej, zgranej do cna jak cały ten nieszczerzy słowotok, ale od „Don't Let Me Down” Beatlesów. Któraś z kobiet znajduje winylową płytę z „ich ostatnim koncertem” i podniecona opowiada, jak to wyszli 30 stycznia 1969 r. na dach wytwórni Apple Records i na oczach zawiadomionych przez porządnego obywatela policjantów zagrali koncert – pełni radości, ożywiając dawną wspólnotę. Także na scenie wszyscy się nagle ożywiają. Do dusznego pokoju wdziera się życie, wymiatając widmowe awatary i miazmaty fałszywych rozliczeń. Zgromadzeni zaczynają entuzjastycznie tańczyć, wyraźnie zadowoleni, że nie muszą już wypowiadać tych wszystkich przemądrych słów.

Z tego tańca właśnie rodzi się najlepsza scena przedstawienia. Zaczyna się od cytatu z „Hair”: rozdawania LSD jak komunii. Ten profanacyjny gest inicjuje serię działań będących odwróceniem porządku sakramentalnej liturgii katolickiej, którą komunია wszak wieńczy. U Lupy jest ona początkiem procesu wiodącego przez modlitwę ku aktowi sakramentalnemu. Michał Czachor czyta wśród narastającej ekstazy fragmenty „Skowytu” Allena Ginsberga, przede wszystkim słynny „Przypis” z powtarzającym się refrenem „Święty, święty”.

Nagle wśród coraz bardziej ekstatycznie poruszających się aktorek i aktorów pojawia się znikąd kontrkulturowy mesjasz – Zmartwychwstały, Żyjący. Ciemna broda, ciemne długie włosy opadają puklami. Zebrani witają w nim zmartwychwstałego Johna Lennona (dla mnie to oczywiście Jim Morrison – Król Jaszczur, prawdziwe uosobienie kontrkulturowej

energii, bóg niezniszczalnego życia, Dionizos XX wieku).

Ważne, że kulminacyjny punkt „Imagine” to zmartwychwstanie kontrkultury, zaprzeczenie jej śmierci. Jest ono inscenizowane z odwołaniem do chrześcijańskiej ikonografii – do sceny ze świętym Tomaszem wkładającym palec w ranę Zmartwychwstałego. Pojawienie się Żyjącego rozpoczyna najbardziej dosłowne obcowanie z nim – rodzaj świętej teatralnej orgii, która zachowuje transowy rytm i stanowi całkowicie pozbawione ironii przywołanie wyobrażeń o wolnej miłości i komunii ciała. Gdy rytm tej zbiorowej sekwencji powoli gaśnie i nagie ciała zastygają w bezruchu, przykrywane folią jak całunem, ich obraz pojawia się na ekranach zamykających scenę, by następnie mogły zostać uniesione w górę, wniebowzięte. Zmartwychwstały spełnił obietnicę – wrócił i zabrał do Królestwa wierne swoje. Liturgia spełniona. Dokonało się.

Jeśli jest w „Imagine” coś dotykającego, żywego, niewpadającego w banał i manierę, także manierę własną Krystiana Lupy, to ta odzyskana poprzez profanacyjny akt wykorzystania dramaturgii liturgicznej wiara w życie kontrkulturowej utopii. Że on jest możliwy tylko w teatrze – wiemy aż za dobrze. Ale właśnie w teatrze doświadczany, może stać się dotkliwy i działający. To teatr może zacząć proces odzyskiwania tej utopii, już choćby przez to, że zrodzi tęsknotę. Po pierwszej części wychodziłem z sali poruszony i bez ochoty na rozmowy o czymkolwiek, w niejasnym stanie poczucia winy i potrzeby zrobienia czegoś. Po powodzi niepotrzebnych słów w części drugiej wychodziłem tylko zły na artystę, który nie umie kiełznać swojego „ja”.

Możliwe zresztą, że zobaczyłem w typowym przedstawieniu teatru Krystiana Lupy coś, czego w tym teatrze nie ma, co temu teatrowi i temu artyście jest obce, a może wręcz wrogie – wyrastającą z profanacyjnego przejęcia modeli liturgicznych polską tradycję teatralną. Zobaczyłem, jak u Lupy objawia się duch teatru Mickiewicza i Grotowskiego. Na pytanie, czy nawiedza ona jego przedstawienie, czy tylko moje widzenie, nie umiem odpowiedzieć. Ale przypomniał mi się komentarz, jaki Jerzy Grotowski wypowiedział podobno na temat teatralnego guru Lupy – Tadeusza Kantora: „To geniusz, tylko niestety nie ma pojęcia, na czym jego genialność polega”. © DARIUSZ KOSIŃSKI